

**GIOVANNI
BOCCACCIO**

DEKAMERON,
DZIEŃ ÓSMY

Dekameron

Giovanni Boccaccio
Dekameron, Dzień ósmy

«Public Domain»

Boccaccio G.

Dekameron, Dzień ósmy / G. Boccaccio — «Public Domain»,
— (Dekameron)

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Opowieść pierwsza. Przykry zawód	6
Opowieść druga. Przypadki proboszcza z Varlungo	8
Opowieść trzecia. Poczciwy Calandrino	12
Opowieść czwarta. Na gorącym uczynku	17
Opowieść piąta. Sędzia bez spodni	21
Конец ознакомительного фрагмента.	22

Giovanni Boccaccio

Dekameron, Dzień ósmy

Promienie słońca zabłyśły już na szczytach najwyższych gór w niedzielny ranek, mrok zniknął i najdrobniejszy przedmiot dobrze już rozeznąć można było, gdy królowa z całym towarzystwem, ze snu powstawszy, odbyła krótką przechadzkę po rośnej trawie, a potem w połowie trzeciej godziny dnia¹ udała się z całym gronem do pobliskiego kościółka. Po wysłuchaniu mszy powrót do domu nakazała. Po wesołym, odświętnym obiedzie trwały przez pewien czas śpiewy i tańce, po czym królowa pozwoliła wszystkim użyć spoczynku lub rozrywki, wedle woli. Gdy zaś słońce połowę swej drogi przebyło, zebrali się wszyscy, zgodnie z rozkazem królowej, koło fontanny, zasiedli w zwykłym porządku i Neifile, której zaczynać wypadło, w te słowa się odezwała:

¹ *trzecia godziny dnia* – tj. około 8.00 rano; niegdyś liczono godziny od wschodu słońca, kiedy to odbywało się pierwsze nabożeństwo, jutrznia. [przypis edytorski]

Opowieść pierwsza. Przykry zawód

Gulfardo pożycza od Gasparruola pieniądze, po czym umawia się z jego żoną, że zapłaciwszy jej dwieście dukatów, noc z nią spędzi. Gulfardo wręcza jej pieniądze. Po kilku dniach w przytomności Gasparruola mówi, że oddał jego żonie cały dług.

– Jeżeli już się tak podobało niebu, abym w dniu dzisiejszym ja początek dała, tedy² chętnie się temu poddam i biorąc pochop z owych wybornych figlów, które w opowieściach waszych białogłowy mężczyznom płatały, dla odmiany opowiem, co pewien mężczyzna jednej białogłowie uczynił. Nie myślę jednak owego mężczyzny ganić ani twierdzić, że niesłusznie dostało się owej białogłowie, owszem, postępek jego chcę pochwalić, zganić zaś ową niewiastę, a zarazem pokazać wam, że nie brak mężczyzn wyprowadzających w pole tych, co im zaufali, tak jak i sami okpiwani są przez tych, w których ufność położyli. Po prawdzie wszakże, nazywając rzecz po imieniu, należałoby tu mówić nie o zakpieniu, ale o zasłużonej karze. Niewiasta bowiem winna być bezwzględnie uczciwą, a czystości swojej strzec jako życia własnego i za nic w świecie do plamy na niej nie dopuścić. Gdy zaś tego, dla słabości płci naszej, nie da się w pełni zachować, jakby należało, twierdzę, że na stos zasługuje taka, co za pieniądze da się przywieść do upadku. Bo jeśli miłość to sprawi, dając poznać swą niezmierną potęgę, to sędzia nie nazbyt bezwzględny przebaczyć winnej nie omieszka, jak to niedawno przedstawił Filostrato, opowiadając o przygodzie pani Filipy z Prato.

„Żył niegdyś w Mediolanie pewien Niemiec, parający się jako najemnik żołnierką, imieniem Gulfardo. Uchodził on za wielce odważnego człowieka i odznaczał się wielką wiernością wobec pana, któremu służył, co nie jest rzeczą zwykłą u ludzi należących do jego nacji. Ponieważ miał zwyczaj zaciągnięte długi spłacać rzetelnie, znajdował więc bez trudności za skromnym procentem pieniądze, ilekroć mu ich tylko było potrzeba.

Dzielny ten żołnierz zakochał się w pewnej urodzivej damie, imieniem Ambruogia, żonie Gasparruola Cagastraccio, bogatego mediolańskiego kupca, z którym żył w poufalitych i przyjaznych stosunkach. Afekt swój tak zręcznie skrywać umiał, że mąż ani nikt w ogóle namiętności jego do pięknej damy nie spostrzegł. Po niejakiem czasie odważył się wyrazić jej swoje uczucie i błagać ją o wzajemność, dodając, że dla pozyskania jej łask gotów jest wszystko uczynić. Piękna pani, po długich ceregielach, przychyliła się wreszcie do prośb jego pod warunkiem, że zachowa najgłębszą tajemnicę, a jako człek bogaty da jej dwieście dukatów, których jej właśnie potrzeba.

Niemile dotknęła Gulfarda ta niska chciwość damy, o którą nigdy jej nie podejrzewał. Niewiele już brakowało, aby miłość jego we wstręt się zamieniła; namyślił się jednak, nie dał nic poznać po sobie, a w duchu postanowił damę w pole wywieść.

Dlatego też kazał jej oznajmić, że chętnie na warunki jej przystaje i że wszystkie jej życzenia wypełni, prosi jeno³, aby uwiadomiła go, kiedy ma przybyć. Przyniesie wówczas żadaną sumę. Nikt o niczym wiedział nie będzie krom⁴ jednego z jego przyjaciół, na którym całkowicie polega i który zawsze mu towarzyszy, dokądkolwiekby się nie udawał.

Niegodziwa dama z wielkim ukontentowaniem te jego słowa przyjęła, po czym przez służkę dała mu znać, że mąż jej, Gasparruolo, wkrótce dla załatwienia kilku ważkich spraw do Genui się udaje, a wtedy ona go uprzędzi i do siebie zawezwie.

Wówczas Gulfardo, wybrawszy stosowną porę, udał się do Gasparruola i rzekł doń:

² *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

³ *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

⁴ *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

– Potrzeba mi dwustu złotych dukatów. Mniemam, że pożyczycie mi te pieniądze na takie same procenty, jakie płaciłem wam przy dawniejszych pożyczkach.

Gasparruolo odliczył mu natychmiast żadaną sumę, a po upływie kilku dni do Genui wyjechał. Po jego wyjeździe dama posłała do Gulfarda służkę z uwiadomieniem, że może przybyć dla wręczenia jej dwustu dukatów.

Gulfardo, w towarzystwie przyjaciela, udał się do domu oczekującej go damy. Przede wszystkim w obecności świadka wyliczył jej na rękę dwieście dukatów, po czym rzekł:

– Weźcie, pani, te pieniądze i wręczcie je swemu mężowi po jego powrocie.

Dama przyjęła pieniądze, nie domyślając się, dlaczego Gulfardo słowa te wyrzekł. Mniemała, że Gulfardo chce w ten sposób oczy swemu przyjacielowi zamydląć.

– Ochotnie je wręcę – odrzekła – trzeba je tylko przeliczyć.

Rzekłszy to, położyła pieniądze na stół, przeliczyła je i widząc, że ani jednego dukata nie brak, poszła schować złoto; po czym wprowadziła Gulfarda do sypialnej komnaty. Gulfardo do czasu powrotu Gasparruola niejedną miłą noc z jego żoną spędził.

Gdy Gasparruolo powrócił, Gulfardo odwiedził go i rzekł doń w przytomności⁵ damy:

– Nie zużyłem na nic tych pieniędzy, któreś mi niedawno pożyczył. Zaraz po twoim wyjeździe odniosłem je żonie twojej, dlatego też nic ci już winien nie jestem.

Gasparruolo, obróciwszy się do żony, zapytał, zali⁶ pieniądze otrzymała? Dama, mając w pamięci, że pieniądze przyjęła przy świadku, pojęła, że zaprzeczyć nie sposób. Dlatego też odparła:

– Tak jest w samej rzeczy. Pieniądze znajdują się u mnie, zapomniałam ci jeno powiedzieć o tym.

– Dobrze zatem – rzekł Gasparruolo – idź z Bogiem, Gulfardo, a ja skreślę twój rachunek.

Po odejściu Gulfarda wykpiona białogłowa oddała swemu mężowi dwieście dukatów, cenę swej niegodziwości. W ten sposób chytry miłośnik podszedł chciwą damę, nie straciwszy ani grosza”.

⁵ w przytomności (daw.) – tu: w obecności. [przypis edytorski]

⁶ zali (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

Opowieść druga. Przypadki proboszcza z Varlungo

Proboszcz z Varlungo, przespawszy się z żoną kmięcia, swój płaszcz w zastaw jej oddaje, po czym pożyczka od niej moździerz i odsyłając go, prosi o zwrot płaszcza, zostawionego jako zastaw. Niewiasta płaszcz oddaje, cięte dorzucając słowo.

Wszyscy jednogłośnie pochwalili chytrą sztuczkę, którą Gulfardo chciwej mediolańskiej damie wypłatał. Po czym królowa, obróciwszy się z uśmiechem do Panfila, opowiadać mu kazała.

Panfilo zaczął w te słowa:

– Piękne damy! Przychodzi mi na myśl historia dotycząca owych filutów, którzy raz po raz szkody nam czynią, gdy my odwzajemnić się im tą samą miarą nie możemy. Myślę o księżach. Gromią oni żony nasze i tylko wówczas skłonni są dać odpust za wszystkie grzechy, jeśli uda im się jedną z niewiast naszych powolną sobie uczynić. Wierę⁷, pomyśleć by można, że w Awinionie nie papież, jeno⁸ aleksandryjski sułtan siedzi⁹.

My, ludzie świeccy, nie zdołamy im nigdy równą monetą odpłacić, choćbyśmy z równą ich zapałowi gorliwością starali się mścić na ich matkach, siostrach, córkach i miłośnicach. Na dowód, jak można księżemu słowu wierzyć, chcę wam opowiedzieć ludową historię, niebogata w fantazję, ale wedle mego zdania, wielce krotochwilną¹⁰, zwłaszcza w konkluzji.

„W Varlungo, wioseczce, jak wiecie, niedaleko stąd położonej, żył niegdyś proboszcz, tęgi i chwacki mąż, będący wielkim niewiast lubownikiem¹¹. W czytaniu i pisaniu niezbyt celował, umiał jednak w dni świąteczne pod cieniem wiązu świętym słowem krzepić gromadkę swoją. Gorliwość jego kapłańska objawiała się szczególnie w stosunku do białogłów, które pod nieobecność ich mężów pilnie odwiedzał, przynosząc im zawsze w podarunku jakiś obrazek, wodę święconą, ułamek poświęconej gromnicy pospołu z swoim błogosławieństwem. Między owieczkami, z których wiele już doń należało, wpadła mu w oko szczególnie jedna, imieniem Belcolore, żona gospodarza, zwanego Bentivegna del Mazzo. Była to bardzo wesoła, świeża, czarniutka i jędrna białogłowa, zaprawiona w tarcu na żarnach lepiej niż jakakolwiek inna. Umiała grać na cymbałach i uchodziła we wsi za najlepszą śpiewaczkę, nikt bowiem tak jak ona nie umiał zanucić: »Leci woda, leci na zielone pole« lub zawieść¹² riddę¹³ czy ballonchio¹⁴, wdzięcznie chusteczką powiewając. Dla tych wszystkich przymiotów zadurzył się w niej nasz ojciec duchowny, i to tak zapalczywie, że cały dzień myślał tylko o niej i włóczył się po polach, wypatrując, gdzie by ją spotkać można było. Kiedy zaś w niedzielę rano spostrzegł ją w kościele, to natęzał się tak przy śpiewaniu *Kyrie* i *Sanctus*, że przysiąc by było można, iż się słyszy ryczącego osła. Przy tym wszystkim był o tyle ostrożny, że Bentivegna del Mazzo ani żadna z sąsiadek jego niczego się nie domyślali.

Dla pozyskania łask Belcolory proboszcz od czasu do czasu obdarzał ją to wiązką świeżego czosnku ze swego ogrodu, sławnego na całą okolicę, który sam uprawiał, to znów pełnym koszem zielonego bobu lub młodych cebulek majowych. A gdy mu się gdzieś na stronie przydybać ją udało, przymilał się do niej, to znów wyrzuty czynić jej zaczynał. Białogłowa udawała, że nic nie rozumie, i zachowywała się względem niego tak obojętnie, iż czcigodny pasterz do rozpacz prawie dochodził.

⁷ *wierę* (daw.) – doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

⁸ *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

⁹ *w Awinionie nie papież, jeno aleksandryjski sułtan siedzi* – mowa o okresie rezydowania papieża w Awinionie; tzw. "niewoli awiniońskiej" (1309-1377). [przypis edytorski]

¹⁰ *krotochwilny* (daw.) – zabawny. [przypis edytorski]

¹¹ *lubownik* (daw.) – miłośnik. [przypis edytorski]

¹² *zawieść taniec* – tu: poprowadzić taniec. [przypis edytorski]

¹³ *ridda* – tradycyjny ludowy taniec włoski, którego nazwa podkreśla element kręcenia się w kółko, wirowania. [przypis edytorski]

¹⁴ *ballonchio* – tradycyjny ludowy taniec włoski z podskokami. [przypis edytorski]

Pewnego dnia zdarzyło się, że proboszcz, przechadzając się z założonymi rękoma po polu, spotkał Bentivegna del Mazzo, pędzącego przed sobą osła objuczonego mnóstwem przedmiotów, i zaczął go pytaniami, dokąd zmierza.

– A gdzieżby – odpowiedział Bentivegna – jeśli nie do miasta? Wiozę te rzeczy w podarunku panu Bonaccorri da Ginestreto, muszę bowiem szukać u niego poparcia w pewnej sprawie, w której pan prokurator sądu do siebie mnie wzywa i niechybnie stawić się przykazuje.

Proboszcz, pełen radości z tak szczęśliwego rzeczy obrotu, zawołał:

– Dobrze robisz, mój synu, radząc sobie w ten sposób! Przyjmij błogosławieństwo moje, ruszaj i wracaj prędko, a jeśli zobaczysz po drodze Lapuccia albo Naldina, nie zapomnij im powiedzieć, żeby mi jak najspieszniej rzemienie do cepów przysłali.

Bentivegna obiecał to uczynić i pojechał dalej. Proboszcz zasię¹⁵, ujrawszy oddalającego się w stronę Florencji, pomyślał, że teraz sposobna chwila nastąpiła, aby zejść do Belcolory i szczęścia u niej spróbować. Nie zwlekając tedy¹⁶, wziął nogi za pas i co tchu w piersiach popędził do domu swej umiłowanej. Wszedłszy do sieni, zawołał:

– Pokój temu domowi! – Nie usłyszawszy odpowiedzi dodał: – Cóż to, zali¹⁷ nie ma tutaj nikogo?

Belcolore, znajdująca się w tej chwili na stryszku, odrzekła:

– Ach! To wy, panie, witajcie! Cóż was na taki skwar z domu wygania?

– Ech! na moją duszę – zawołał proboszcz – cóż by innego, jeśli nie chęć przepędzenia z tobą radosnej chwili w czasie nieobecności męża twego, którego spotkałem na drodze do Florencji!

Gdy tych słów domawiał, Belcolore zesza ze stryszku, usiadła na ławie i poczęła przebierać konopne nasienie, które mąż jej zebrał przed kilku dniami.

Proboszcz, tą jej obojętnością do żywa dotknięty, zawołał:

– Belcolore, Belcolore, długoż mnie jeszcze w ten sposób zwodzić będziesz?...

– A cóż ja wam złego robię? – spytała śmiejąc się białogłowa.

– Nic mi nie robisz – odrzekł proboszcz – ale i mnie nie pozwalasz robić z tobą tego, czego bym gorąco pragnął i co samo niebo nakazało.

– No, no! – zawołała Belcolore. – Co też powiadacie! Czy i duchowne osoby podobne rzeczy czynią?

– Wiedz, że tak, i to lepiej od innych mężczyzn – odrzekł proboszcz. – Dlaczegooby zresztą inaczej być miało? Nie mamyż wszystkiego, co ku temu potrzebne? Sposobniejsi nawet jesteśmy do tej roboty od innych, bo rzadziej się jej imamy¹⁸. Uwierz mi, że nie wyszłoby ci to na złe, gdybyś mi wstrętów nie czyniła.

– I cóż bym z tego miała? – odrzekła Belcolore. – Wiadoma to rzecz przecie, że wy wszyscy skąpsi jesteście od samego diabła.

– Ja skąpcem nie jestem – odparł proboszcz. – Wkrótce zresztą dowodnie się o tym przekonasz. Czego byś pragnęła? Pary trzewików, przepaski, sztuki pięknej materii? Żądaj tylko, a wszystko dać ci jestem gotów!

– Nie – rzekła Belcolore – to wszystko i ja posiadam, aliści¹⁹ jeżeliście naprawdę tak dla mnie łaskawi, jak powiadacie, uczyńcie mi inną przysługę, a ja za to odwdzięczę się wam wedle woli waszej.

– Mów tylko – zawołał proboszcz – a wszystko uczynię!

¹⁵ *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

¹⁶ *tedy* (daw.) – zatem. [przypis edytorski]

¹⁷ *zali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

¹⁸ *imać się* – brać się (zabierać się) do czegoś, chwycić się za coś. [przypis edytorski]

¹⁹ *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

– Otóż – zaczęła Belcolore – w sobotę muszę jechać do Florencji dla oddania motków, które naprzędłam, i dla naprawy kołowrotka; przy tej sposobności mogłabym wyjąć z zastawu granatowy kaftanik i świąteczny pas skórzany ze sprzączką, który przyniosłam mężowi w posagu. Bez tych rzeczy nie mogę się nigdzie wśród ludzi pokazać ani do kościoła pójść w odpust. Na wykup potrzeba mi tylko pięciu lirów. Pożyczcie mi tych pięć lirów, bo wiem, że je macie, a potem żądajcie, co wam się podoba.

– Przysięgam ci – odrzekł na to proboszcz – że nie mam tylu pieniędzy przy sobie. Daję ci jednak słowo, że przed sobotą jeszcze będziesz miała pięć lirów.

– Ech! – zawołała Belcolore – obiecanka, cacanka!... Znam ja wasze obietnice i wiem, jak dotrzymujecie słowa! Myślicie, że dam się tak na hak przywieść jak Biliuzza, którąście z kwitkiem odprawili, aby się później na nic rozpuściła... Oho, nic z tego, dalipan! Jeżeli nie macie tych pieniędzy przy sobie, tedy idźcie po nie.

– Ach! – rzekł błagalnie proboszcz – nie wysyłaj mnie teraz do domu! Trafiłem na szczęśliwą porę, kiedy tu nikogo nie ma; kto wie, czy za powrotem nie znajdę jakiegoś natręta, który mi ukradnie tę drogą sposobność. A podobna może nieprędko się przydarzyć.

– Dobrze, dobrze – odparła Belcolore – jeśli chcecie, idźcie, jeśli zaś nie chcecie, to zostańcie, ale w tym wypadku niczego ode mnie nie oczekujcie.

Proboszcz, widząc, że nic nie wskóra, i bojąc się, aby białogłowa nie zawołała *salvum me fac*²⁰, podczas gdy on pragnął odbyć rzecz całą *sine custodia*²¹, rzekł wreszcie:

– Nie wierzysz mi, że ci pieniądze przyniosę? Ostawię ci zatem w zastaw ten płaszcz niebieski, który mam na sobie.

Belcolore podniosła oczy i rzekła:

– A ileż ten płaszcz wart?

– Ile jest wart? – zawołał proboszcz. – Trzeba ci wiedzieć, że skrojony został z bardzo przedniego sukna i że nie ma jeszcze czternastu dni, jak go kupiłem u Lotta za całych siedem lirów. Wart jest przynajmniej pięć soldów więcej, jak mnie zapewniał Buglietto, który jak wiadomo, na takich przedmiotach zna się na schwał.

– Doprawdy? – zawołała Belcolore. – Nigdy bym w to nie uwierzyła. Oddajcie mi go jednak najprzód.

Ojciec duchowny czując, że zbyt napięta ścięciwa pęknąć może, zdjął płaszcz z siebie i oddał go białogłowie. Belcolore schowała go starannie, a potem rzekła:

– Chodźmy teraz na śpichrz, tam nam nikt nie przeszkodzi.

I poszli.

Wielebny ojciec przez długi czas jej wdziękami się cieszył i wśród najczulszych pieśczot krewniczka pana Boga ją czynił. Po czym w sutannie tylko, jak gdyby z jakiegoś wesela, do plebanii powrócił. Wszedłszy do komnaty zadumał się i obliczył, że wszystkie świeczki, ofiarowane przez wiernych w ciągu całego roku, i połowy sumy pięciu lirów nie wyniosą. Spostrzegł, że źle uczynił, i tak mu się żal zrobiło płaszcza oddanego w zastaw, że postanowił bez najmniejszej zapłaty go odebrać. Długo się głowił, aż wreszcie stosowny sposób wymyślił.

Następnego dnia, a było to właśnie w niedzielę, posłał chłopca służącego do mszy, syna sąsiada, do domu Bentivegna z prośbą, aby Belcolore była łaskawa pożyczyć mu kamienny moździerz, bowiem tego dnia będzie miał na obiedzie u siebie Binguccia del Pogigo i Nuta Buglietti, których chciałby słodkimi wetami²² przyjąć.

Belcolore moździerz pożyczyła. Proboszcz poczekał do pory obiadowej. Przewidując, że Belcolore pospołu z mężem siedzieć już przy stole musi, zawołał chłopca i rzekł do niego:

²⁰ *salvum me fac* (łac.) – wybaw mnie; tu: ratunku. [przypis edytorski]

²¹ *sine custodia* (łac.) – bez straży; tu: bez świadka. [przypis edytorski]

²² *wety* (daw.) – deser. [przypis edytorski]

– Weź ten moździerz, odnieś go Belcolore z powrotem i tak powiedz: »Ksiądz proboszcz dziękuje wam bardzo za pożyczanie i prosi o zwrot płaszcz, który tu chłopiec jego jako zastaw za moździerz wam wręczył«.

Chłopiec udał się do domu Belcolore, którą z mężem przy obiedzie zastał. Postawiwszy przed nią moździerz powiedział, co mu powiedzieć polecono. Belcolore widząc, jakiego figla chce jej proboszcz wypłatać, chciała odpowiedzieć, ale Bentivegna przerwał jej, wołając gniewnie:

– Co takiego? Śmiesz żądać zastawu od naszego czcigodnego proboszcza? Na mękę Chrystusową przysięgam ci, że bierze mnie niezmierna ochota potężnego szcztuka ci wymierzyć. Oddaj zaraz ten płaszcz, do stu czartów, i strzeż się w przyszłości coś podobnego uczynić! O cokolwiek by ojciec duchowny, choćby nawet o osła naszego, prosił, nie waż się mu odmówić.

Belcolore wstała od stołu, mrużąc gniewnie, potem otworzyła skrzynię, wyjęła ze złością płaszcz i oddała go chłopcu z tymi słowy:

– Powiedz ode mnie swemu panu, że Belcolore przysięga przed Bogiem, iż nigdy już dobrodziejowi nie pozwoli nic tłuc w swoim moździerzu!...

Bentivegna mniemał, że żona mówi to pod wpływem jego słów gniewnych, i wagi do tego nie przywiązywał.

Chłopiec zaniósł tę odpowiedź proboszczowi. Ten rozśmiał się i rzekł doń:

– Powiedz jej, gdy ją obaczysz, że jeśli ona mi już nigdy moździerza swego nie użyczy, to ja jej nigdy tłuczka mego nie dam; a jedno wszak warte jest drugiego.

Przez długi czas po tej historii Belcolore na swego pasterza gniewne miny stroiła, gdy jednak w czasie winobrania proboszcz zagroził jej, że ją pośle wprost w samą paszczę Lucypera po śmierci, z wielkiego strachu pogodziła się z nim i w szopie zgodę przypieczętowała przy świeżym moszczu i pieczonych kasztanach. Aby ją zasię²³ całkowicie udobruchać, kazał jej dobry proboszcz dla odwetowania owych pięciu lirów tamburino nową skórą obciągnąć i dzwonek przy nim zawiesić, czym ją ostatecznie ułagodził.”

²³ zasię (daw.) – zaś, natomiast. [przepis edytorski]

Opowieść trzecia. Poczciwy Calandrino

Calandrino, Bruno i Buffalmacco szukają w Mugnone cudownego kamienia. Calandrino mniema, że go znalazł. Powraca tedy do domu z kupą kamieni. Żona łaje go. Calandrino, srodze rozdrażniony, bije ją, co się zmieści, po czym opowiada towarzyszom swoim o tym, o czym oni lepiej od niego wiedzą.

Skoro opowiadanie Panfila – przy którym damy taki śmiech opanował, że dotąd jeszcze się śmieją – do kresu doprowadzone zostało, królowa z kolei na Elizę skinęła. Ta, wciąż jeszcze się śmiejąc, tak zaczęła:

– Nie spodziewam się, miłe towarzyszy, aby mi się udało moją krótką powieścią, równie krotochwilną²⁴, jak prawdziwą, tak was rozśmieszyć, jak Panfilowi przed chwilą. Spróbuję jednak.

„W mieście naszym²⁵, zawsze w różne obyczaje i dziwnych ludzi obfitującym, żył przed niedawnym czasem malarz, nazwiskiem Calandrino, człek prosty i dziwak wielki. Obcował on zwykle z dwoma innymi malarzami, z których jeden zwał się Bruno, a drugi Buffalmacco. Byli to dwaj zawołani figlarze – zresztą bystrzy i roztropni ludzie. Przebywali oni często z Calandrinem, aby się z jego prostoty naśmiewać i różne sztuczki mu płatać. W tym czasie mieszkał także we Florencji pewien przemiły, wesoły i przedsiębiorczy młodzieniec, wielki przygód lubownik²⁶, nazwiskiem Maso del Saggio. Ten, zasłyszawszy o głupocie Calandrino, postanowił wyzyskać ją w żartobliwy sposób, wypłatać mu jakiegoś figla albo też wmówić w niego jakąś rzecz niepodobną do wiary. Pewnego dnia przydybał go przypadkiem w kościele Św. Jana, jak stał przed malowidłami i rzeźbami tabernaculum, które niedawno na ołtarzu w tym kościele ustawiono, i przypatrywał im się uważnie. Maso uznał tę chwilę za właściwą do urządzenia zamierzonej krotochwili²⁷. Upzedziwszy więc towarzysza swego o tym, co mówić zamierza, zbliżył się wraz z nim do Calandrino i udając, że go nie spostrzega, zapuścił się z przyjacielem swoim w gorącą rozprawę o potędze czarodziejskiej pewnych kamieni.

Maso mówił tak wymownie, jak gdyby był wielkim i nieporównanym znawcą kamieni. Calandrino nadstawił ciekawie uszu, a po chwili przystąpił nawet do rozmawiających, spostrzegłszy, że nie idzie im o zachowanie tajemnicy. Maso tylko tego pragnął. Nie pokazawszy jednak nic po sobie, opowieść o zaczętych dziwach dalej ciągnął. Wreszcie Calandrino spytał, gdzie tak cudowne kamienie znaleźć można. Maso odparł, że największą ich ilość znaleziono dotąd w Berlinzone, w kraju Basków, w okolicy zwanej Bengodi; kraina ta znana jest stąd, że tam krzewy winne kiełbasami podwiązują, a gęś za trojaka z gąsiątkiem w przydatku sprzedają. Na północ od niej znajduje się góra, cała z tartego parmezanu, na której stoją ludzie i niczym innym się nie zajmują, tylko wyrabianiem makaronu i nadziewanych pierogów. Gotują je w rosole z kapłonów i rzucają następnie przechodniom, aby je chwytali, ile kto zdoła. U stóp tej góry zasię płynie strumień wybornego wernackiego wina, bez przymieszki choćby jednej kropli wody.

– O, cóż za cudowny kraj! – zawołał Calandrino – aliści²⁸ powiedz mi, co robią owi ludzie z tymi kapłonami, z których rosół do gotowania pierogów i makaronu czynią?

– Baskowie je zjadają – odrzekł Maso.

– Zaliś ty tam był kiedy? – spytał znowu Calandrino.

– Czy tam byłem? – zawołał Maso. – Zapytaj, ile tysięcy razy!

– A ileż mil do tego miejsca? – badał Calandrino dalej.

²⁴ *krotochwilny* – żartobliwy, zabawny, wesoły. [przypis edytorski]

²⁵ *w mieście naszym* – tj. we Florencji. [przypis edytorski]

²⁶ *lubownik* (daw.) – miłośnik. [przypis edytorski]

²⁷ *krotochwila* – żart, zabawa. [przypis edytorski]

²⁸ *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

- Mógłbym przysiąc, że więcej niż tysiąc – odparł Maso.
- Ba, to musi być dalej niż do Abruzzów – zauważył Calandrino.
- Tak, trochę dalej – rzekł Maso.

Głupi Calandrino słysząc o tych dziwach, wypowiedzianych przez Masa z poważną miną i bez śladu uśmiechu na twarzy, uwierzył im w zupełności i rzekł:

– Szkoda, że to dla mnie za daleko. Ach, dalibóg, gdyby choć trochę bliżej było, zaraz bym tam poszedł, choćby dla tej przyczyny, aby zobaczyć, jak makaron z góry leci, i najeść się do sytości. Wracając jednak do owych kamieni, proszę, abyś powiedział mi łaskawie, czy nie znajdują się one i w naszych stronach?

– Owszem – odrzekł Maso – na dwa rodzaje ich, niemałą siłą przyrodzoną obdarzone, natrafiono tutaj. Pierwszy gatunek to kamienie młyńskie z Settignano i Montisci, posiadające tę czarodziejską własność, że młyny, do których są użyte, mielą same bez pomocy wody lub wiatru. Stąd też przysłowie bardzo tam pospolite: »Łaski pochodzą od Boga, a dobre kamienie młyńskie z Montisci«. Kamienie te w takiej obfitości się tam znajdują, że tak mało wszyscy je cenią jak i szmaragdy, których całe góry, wyższe od gór Morello, napotkać w tamtych stronach można. Wydają one z siebie o północy taki blask, że niech Bóg bron i zachowa! Trzeba ci także wiedzieć, iż kto by potrafił takie młyńskie kamienie nanizac w krąg, zanim się je przewierci, i zaniósł je wielkiemu sułtanowi, otrzymałby, czego by tylko zapragnął. Drugim gatunkiem kamienia cudownego, który trafia się w naszych okolicach, jest tak zwany przez nas, złotników, heliotrop, kamień obdarzony potężną i zadziwiającą siłą, kto go bowiem przy sobie nosi, niewidzialny jest dla wszystkich tam, gdzie go nie ma.

- Oto ci kamyczki na schwał! – zawołał Calandrino. – Gdzie, powiadasz, te drugie się znajdują?
- Najczęściej dotychczas trafiały się w Mugnone – odparł Maso.
- A wielkie są? I jaką barwę mają? – badał dalej Calandrino.
- Jeden jest większy, drugi mniejszy – odrzekł Maso – ale co się koloru tyczy, to wszystkie są jednakowe, czarne.

Calandrino zakonotował sobie dobrze wszystkie te nowinki, po czym udał, że mu się śpieszy do jakiejś roboty i pożegnał Masa z twardym zamysłem wybrania się na poszukiwanie owych kamieni. Pierwej jednak postanowił uwiadomić o wszystkim Bruna i Buffalmacca, których szczególnie miłował. Jął więc ich poszukiwać, ażeby nie tracić drogiego czasu po próżnicy i wszystkich wyprzedzić, aliści dopiero w południe znaleźć mu się ich udało w klasztorze mniszek, przy drodze do Faenzy, gdzie jakąś robotą zatrudnieni byli. Zziąjany, bo skwar był ogromny, bez tchu prawie przybiegł do nich, odciągnął ich na bok i rzekł:

– Przyjaciele, jeżeli tylko chcecie, możemy zostać najbogatszymi ludźmi w Florencji. Dowiedziałem się od pewnego wiarogodnego człeka, że w Mugnone znaleźć można pewien kamień, mający moc czynienia niewidzialnym posiadacza swego. Sądzę tedy²⁹, że bez odwłoki powinniśmy wybrać się na poszukiwanie tego kamienia; obawiam się ustawicznie, aby nas ktoś nie uprzedził. Ani chybi znajdziemy go, bowiem jego cechy znam wybornie; gdy go już raz będziemy mieli, czegoż nam więcej będzie potrzeba? Włożymy go do mieszka, podejdziemy do jednego z owych stołów wekslarskich, które się uginają pod ciężarem dukatów i innej monety, i każdy z nas nabierze tyle srebra i złota, ile tylko zechce. Nie zobaczy nas nikt. Takim sposobem w krótkim czasie wzbogacimy się i nie będziemy musieli już po całych dniach walać się farbą i jak pajaki po rusztowaniach łązić.

Bruno i Buffalmacco, słysząc te niedorzeczne słowa, o mało mu w sam nos śmiechem nie parsknęli, pomiarkowali się jednak, spoglądając na siebie, udali wielce zadziwionych i jęli głośno jego zamysł wychwalać. Następnie Buffalmacco spytał go, jak się ów kamyk nazywa?

Calandrino, lotnością myśli zgola nieobdarzony, silił się przypomnieć sobie, aliści po próżnicy, wreszcie zawołał:

²⁹ *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

– Ech! co nas tam jego nazwa obchodzić może, dosyć na tym, że cechy jego i siłę znamy. Radzę zaraz w drogę wyruszać i szukać go.

– Dobrze, ale powiedz mi najpierw, jak on wygląda – rzekł Bruno.

– Kształt miewa rozmaity – odparł Calandrino – aliści prawie zawsze jest czarny. Moim zdaniem tedy, winniśmy zbierać wszystkie kamienie czarne, jakie nam w ręce wpadną, póki na właściwy nie natrafimy. Nie traćmy czasu, powiadam, nie traćmy czasu!

– Jeszcze chwileczkę – rzekł Bruno i zwracając się do Buffalmacca dodał: – Zamysł Calandrina ze wszech miar na pochwałę zasługuje, aliści obecna pora nie wydaje mi się stosowną do urzeczywistnienia go, słońce bowiem stoi wysoko, nad samą doliną Mugnone. Wszystkie kamienie, spieczone skwarem, białymi wydawać się będą, te nawet, które rano, słońcem nieosuszone, czarnymi się zdają. Krom³⁰ tego dzisiaj jest dzień powszedni, dużo więc ludzi zastaniemy w dolinie. Obaczywszy nas, łatwo odgadną, czego szukamy, i naśladować nas będą gotowi. Cudowny kamień, zamiast w nasze, w ich ręce wpaść gotów i wówczas cała rzecz będzie stracona. Wszystko to zważywszy, mniemam, waszego zdania nie przesądzając, że winniśmy wybrać godzinę poranną, w której daleko lepiej czarne kamienie od białych odróżnić można. Udamy się przy tym na miejsce w dzień świąteczny, kiedy w dolinie pusto bywa.

Buffalmacco przyznał słuszność rozumowaniu Bruna. Calandrino, chcąc nie chcąc, uczynił to samo. Umówili się tedy, że w najbliższą niedzielę rano wybiorą się wszyscy trzej pospołu, aby szukać cudownego kamienia; Calandrino zaklął ich na wszystkie świętości, aby nikomu słówka nie zdradzili z tej tajemnicy, którą mu powierzono w zaufaniu. Przy pożegnaniu opowiedział im jeszcze nowinki, które słyszał o kraju Bengodi, zaklinając się, że to wszystko święta prawda. Wreszcie odszedł. Wówczas dwaj pozostali uknuli między sobą spisek.

Nadeszła wreszcie oczekiwana gorąco przez Calandrina niedziela. O świcie porwał się Calandrino z łoża, przywołał swoich towarzyszy i wyruszył wraz z nimi w drogę. Wyszli z miasta przez bramę San Gallo, wstąpili w koryto rzeki i szukając cudownego kamienia, szli przed siebie. Niecierpliwym Calandrino wyprzedzał towarzyszy, skakał gwałtownie to tu, to tam, a gdy gdzie jaki czarny kamień zoczył, rzucał się nań, porywał go z ziemi i za pazuchę chciwie pakował. Towarzysze jego szli za nim i także od czasu do czasu kamienie podnosili, aliści³¹ nie tak często jak Calandrino. Toteż gdy ledwie kilkadziesiąt kroków przebyli, Calandrino miał już całe piersi kamieniami obłożone, tak że w końcu był zmuszony podgiąć obszerne poły swojego kaftana, końce zatknąć za pas i tym sposobem zrobić sobie z niego rodzaj wora. Ale i ten schowek tak się wkrótce przepełnił, że trzeba było z płaszcz nową sakwę uczynić. Niedługo i w niej miejsca zabrakło.

Tymczasem nadeszła godzina obiadowa. Wówczas Bruno i Buffalmacco, widząc obładowanego Calandrina, trącili się łokciami. Bruno, zgodnie z umową, zawołał zwracając się do Buffalmacca:

– Gdzie się podział Calandrino?

Buffalmacco, mimo że miał go tuż przed nosem, obrócił się, spojrzał na lewo i prawo i wreszcie rzekł:

– Dalibóg, że nie wiem! Przed chwilą jeszcze był tu przed nami.

– To prawda – odrzekł Bruno. – Ani chybi zażartował z nas sobie, wrócił do domu, je teraz spokojnie obiad i śmieje się z nas, że tutaj, jak głupcy, kamienie czarne zbieramy.

– Jeśli tak uczynił – rzekł Buffalmacco – to miał słuszność, bo istotnie trzeba było być dudkiem, aby uwierzyć temu, co nam opowiadał. Komuż by, krom nas, w głowie pomieścić się mogło, że podobnie cudowny kamień znajduje się w dolinie Mugnone?

Calandrino, słuchając tych słów, topniał z radości, był bowiem upewniony, że pożądanym kamień ma między innymi w kieszeni i że dlatego właśnie towarzysze go nie widzą, chociaż jest tuż obok. Zachwycony tym szczęśliwym wypadkiem, postanowił, nie odpowiadając ani słowa, co żywiej do

³⁰ *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

³¹ *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

domu powrócić. Z tym zamysłem cichymi kroki wymykać się począł. Widząc to, Buffalmacco rzekł do Bruna:

– Cóż tu dłużej mamy robić? Chodźmy i my do domu.

– Chodźmy – odrzekł Bruno – ale klnę się na Boga, że mi już nigdy Calandrino podobnego figla nie wypłata. Ach, gdybym go teraz miał przed sobą tak blisko, jak niedawno go jeszcze miałem, walnąłbym go tym kamyczkiem w piętę, aby popamiętał na długo, co to znaczy kpić sobie ze mnie.

To mówiąc, trzymanym w ręku kamieniem ugodził w nogę Calandrina.

Calandrino poczuwszy ból syknął lekko, pohamował się jednak natychmiast, poskrobał w obolałe miejsce i ruszył dalej w milczeniu.

Tymczasem i Buffalmacco pochwycił jeden z uzbieranych kamieni i zawołał do Bruna:

– Spójrzysz no, jaki śmigły krzemyk! Ach, gdybym tak mógł nim trzasnąć Calandrina w żebra. Rzekłszy te słowa ugodził nader celnie w bok ofiarę swoją.

Słowem, przygadując bez ustanku, rzucali kamieniami w Calandrina od Mugnone aż do bramy San Gallo. Przybywszy tam, wysypali wszystkie uzbierane kamienie na ziemię i dali umówiony znak strażnikom przy bramie, którzy, dusząc się od śmiechu, przepuścili Calandrina, jak gdyby był dla nich całkiem niewidzialny.

Calandrino czym prędzej udał się do swego domu na rogu Młyńskiego Kamienia. Los tak krotochwilnikom³² sprzyjał, że nikt naszego szczęśliwca po drodze nie zaczepił. Zresztą, jako że to pora południowa była, wszyscy w domach przebywali.

Calandrino, objuczony, dopadł wreszcie do swego domu. Przypadek zdarzył, że na progu stała żona jego, imieniem Tessa, urodziwa i rozumna białogłowa. Tessa, zagniewana, że się na obiad spóźnia, przyjęła go okrzykiem:

– No, klejnocie! Wreszcie cię diabli przynoszą. Cały świat się zdąży najeść, zanim ty do stołu zasiądziesz.

Calandrino na te słowa stanął osłupiały i pomyślał, że kamień cudowny wobec żony siłę swą utracić musiał. W pierwszym zapędzie gniewu zawołał tedy³³ z wściekłością:

– Biada mi! Trzebaż było właśnie tej jędzy na progu! Zgubiłaś mnie, hultajko! Ale jak Bóg na niebie, zapłacisz mi za to!

To rzekłszy wpadł do izby, wysypał ową kupę kamieni, którą ze sobą przydźwigał, a następnie rzucił się z wściekłością na żonę, schwycił ją za warkocze, obalił na ziemię i okładać co sił począł, nie zważając na jej błagania i jęki. Bił ją tak, dopóki jej wszystkich kości nie policzył.

Tymczasem Buffalmacco i Bruno strawili chwilę czasu na żarty ze strażnikami przy bramie. Idąc wolnym krokiem za Calandrinem, przybyli przed dom jego udając, że dopiero teraz nadeszli. Słyszając, co się dzieje, zawołali nań. Calandrino, opływający potem, czerwony na twarzy i bez tchu w piersiach, przystąpił do okna i poprosił ich, aby weszli do środka.

Dwaj figlarze, przybrawszy obrażone miny, weszli na górę, gdzie ujrzeli w jednym kącie izby stos kamieni, a w drugim biedną żonę Calandrina z rozczochranymi włosami, pokrytą sińcami na całym ciele i płaczącą głośno. Na środku stał Calandrino w rozpiętej odzieży, sapiąc i chwiejąc się na nogach. Na ten widok Bruno i Buffalmacco udali z początku mocne zdziwienie, a potem zawołali:

– Cóż to wszystko ma znaczyć, Calandrino? Zali kamieniarzem chcesz zostać? Na co ci ta kupa kamieni? A z panią Tessą co się dzieje? Kto ją tak oporządził? Wytłumacz nam, co się tu stało?

Calandrino chciał odpowiedzieć, aliści znużenie, wściekłość i srogie strapienie z powodu utraconego szczęścia mowę mu odebrały. Płatał się w słowach i oddech z trudnością chwycił. Buffalmacco, korzystając z chwili milczenia, rzekł w te słowa:

³² *krotochwilnik* (daw.) – żartowniś. [przypis edytorski]

³³ *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

– Jeśliś miał inny powód do gniewu, Calandrino, to przecze³⁴ na nas niewinnych złość swą wywarłeś? Wierę³⁵, tak się nie godziło. Wyprowadziłeś nas na poszukiwanie jakiegoś czarodziejskiego kamienia, a potem, nie powiedziawszy nawet »Zostańcie z Bogiem« lub »Idźcie do kaduka«, odszedłeś i zostawiłeś nas niby durniów w korycie rzeki! Aliści bądź pewny, że pierwszy i ostatni raz podobnego figla spłatać ci się nam udało.

Na te słowa Calandrino zebrał wszystkie siły i zawołał:

– Nie gniewajcie się na mnie, towarzysze! Rzecz się ma zgoła inaczej, niżli sądzicie. Jakże jestem nieszczęsny. Wiedźcie, że znalazłem ów szacowny wielce kamień. Na dowód prawdy mych słów powiem wam, iż w chwili gdyście się za mną oglądali, znajdowałem się nie dalej jak o dziesięć kroków od was. Przez cały czas drogi, aż do miasta, szedłem tuż przed wami, nie będąc przez was widziany.

I tu jął³⁶ opowiadać im wszystko od początku aż do końca, pokazał im plecy i pięty, pobite krzemieniami, i tak ciągnął dalej:

– Nie dosyć na tym! Gdy z kupą kamieni, które tutaj widzicie, przechodziłem przez bramę, nikt mi ni słowa nie powiedział, choć dobrze wiadomo wam, jak naprzykrzeni zwykle strażnicy bywają i jak muszą obmacać człeka na wszystkie strony, zanim go przepuszczą. Jawną jest tedy rzeczą, że mnie widzieć nie mogli. Później spotkałem na drodze kilku przyjaciół i towarzyszy, którzy zawsze, ujrawszy mnie, pierwsi do mnie przystępują i zapraszają na poczęstunek; na ten raz nikt z nich pół słówka nie zagadał, z czego wnosić wypada, że mnie nie widzieli. Przybyłem wreszcie do domu. Na progu zaszła mi drogę ta szatańska białogłowa i zobaczyła mnie. Wiecie przecie sami, że na co baba spojrzy, to zaraz moc przyrodzoną strada³⁷. Stąd też poszło, że najszczęśliwszy człek we Florencji na najędźniejszego się zmienił. Cóż dziwnego zatem, że ją łupił, dopóki mi sił starczyło. Teraz nawet czuję, iż zbyt się hamowałem i że powinienem jej wszystkie gnaty poprzetrzącać. O, przeklęta niechaj będzie ta godzina, w której ją pierwszy raz ujrzałem i do mego domu wwiódłem!

Rzekłszy te słowa, nowym zapalony gniewem, powstał i chciał skoczyć znowu ku Tessie, aliści³⁸ Buffalmacco i Bruno, którzy przez cały czas jego mowy najwyższe zadziwienie udawali i potakiwali mu, widząc teraz, że się na nową bójkę zanosi, zastąpili mu drogę i wstrzymali go, po czym jęli go zapewniać, iż w tej sprawie nie żona, ale on sam najwięcej jest winien, wiedząc bowiem, że od kobiecego spojrzenia czarodziejska siła ginie, powinien był ostrzec żonę zawnaz, aby mu się w tym dniu na oczy nie pokazywała. Ponieważ uczynić tego zaniedbał, niechaj sam sobie winę przypisze, a raczej woli boskiej, która albo mu tego szczęścia nie przeznaczyła, albo też w ten sposób ukarać go chciała za to, że pragnął oszukać towarzyszy. Znalazłszy kamień cudowny nie zawiadomił ich przecież o tym.

Po długich staraniach i trudach udało im się wreszcie pogodzić Calandrina z nieszczęśliwą jego żoną; po czym odeszli, ostawiając go wpatrującego się z wielką melankolią w stos przyniesionych kamieni”.

³⁴ *przecze* – czemu, czemuż; dlaczego. [przypis edytorski]

³⁵ *wierę* (daw.) – doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

³⁶ *jął* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

³⁷ *stradać* – tracić. [przypis edytorski]

³⁸ *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

Opowieść czwarta. Na gorącym uczynku

Proboszcz z Fiesole miłuje pewną wdowę, która go wzajemnością swą nie darzy. Mniemając, że jest z nią społem, cieszy się wdziękami szpetnej służki. Bracia damy sprowadzają biskupa, który proboszcza na gorącym uczynku chwyta.

Eliza skończyła wreszcie opowieść swoją, wielce nią całe towarzystwo rozweseliwszy. Po czym królowa zwróciła się do Emilii i dała jej znak, że na nią kolej przypada. Emilia, nie namyślając się, w te słowa zaczęła:

– Miłe towarzyszki moje! O ile sobie przypominam, niejednen już tutaj przytoczono przykład, z którego przekonać się było można, jak mnichy i księża wszelkiego rodzaju o zbawienie dusz naszych się troszczą. Ponieważ jednak, jak mi się zdaje, dotąd tej materii do cna nie wyczerpano, pozwolę sobie tedy³⁹ opowiedzieć wam jeszcze jedną historię o proboszczu z Fiesole, który na przekór całemu światu chciał doprowadzić do tego, aby pewna szlachetna dama, nawet wbrew swej woli, doń należała. Dama ta, pełna roztropności, obeszła się z nim tak, jak na to zasłużył.

„Jak każdej z was wiadomo, Fiesole, którego wyżyny stąd nawet gołym okiem obaczyć można, jest starym i ongiś znanym miastem. Miasto to, chylące się dzisiaj do upadku, posiadało swoje biskupstwo. Otóż w grodzie tym mieszkała niegdyś w pobliżu katedry pewna wdowa, białogłowa ze znacznego rodu idąca, imieniem pani Piccarda. Nie będąc bogatą, przepędzała większą część roku w skromnym swoim domku pospołu z dwoma braćmi, szlachetnymi i obyczajnymi młodzieńcami. Wdowa często w kościele bywała. Proboszcz, spostrzegłszy, że jest młoda i urodziwa, zakochał się w niej na zabój. Po pewnym czasie odważył się wyznać jej swoje afekty, błagając ją, aby je podzielić chciała. Był to człek w podeszłych latach, aliści nader młodzieńczego usposobienia, zuchwały i wyniosły wielce, a przy tym tak mocno w sobie rozmiłowany, tak przykry i nieprzyjemny w obejściu, że nie było w całym mieście nikogo, kto by go przychylnością swą darzył. Ze wszystkich najmocniej nie cierpiała go dama nasza, nienawidząc go bardziej niżli ból głowy. Toteż wysłuchawszy jego miłosnych oświadczeń, jako roztropna białogłowa, w te słowa mu odparła:

– Miłość wasza, która jest dla mnie prawdziwym zaszczytem, zobowiązuje mnie do przychylności. W afekty jednak nasze żadna rzecz nieobyczajna mieszać się nie powinna. Jesteście moim ojcem duchownym, księdzem, a przy tym człkiem w statecznym już wieku. Ze względu na to, powinniście obyczajnie postępować. Z drugiej strony ja także już nie jestem młodą panienką, której miłostki by przystawały. We wdowieńskim stanie żyję, a wiecie sami, jakiej surowości obyczajów świat od wdowy wymaga. Wybaczcie mi tedy, że ani ja was w ten sposób, jak pragniecie, miłowała nie będę, ani chcę, abyście wy mnie tak kochali.

Proboszcz, mimo że innej odpowiedzi wydobyć już z ust damy nie zdołał, nie zniechęcił się jednak ani za zwyciężonego we wstępnym boju nie uznał; przeciwnie, wielce natrętnie dręczył ją począł listami i poselstwami swymi: ilekroć zasię⁴⁰ ujrzał ją w kościele, prośbami ją atakował. To uporczywe nagabywanie rozdrażniło tak w końcu naszą damę, że myśleć poczęła nad środkiem pozbycia się prześladowcy, i to w sposób, na jaki zasługiwał. Przede wszystkim jednak postanowiła naradzić się z braćmi. Wezwała ich do siebie, opowiedziała całą historię z proboszczem, przedstawiła plan, który jej do głowy przyszedł, i spytała, zali⁴¹ nań się godzą? Bracia zgodzili się chętnie.

W kilka dni potem dama, obyczajem swoim, udała się do kościoła. Proboszcz ujrzawszy ją wyszedł na jej spotkanie i jak zwykle, w poufałą z nią wstąpił rozmowę. Dama, uprzejmie nań

³⁹ *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

⁴⁰ *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

⁴¹ *zali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

spojrzawszy, w trakcie rozmowy wielką przychylność mu okazała. Wysłuchawszy na uboczu wielu słodkich słówek, rzekła z głębokim westchnieniem:

– Słyszałam nieraz, że nie masz tak silnej twierdzy, która by, co dzień szturmowana, nie poddała się wreszcie. Dzisiaj widzę, że zdanie to sprawdza się na mnie samej. Takeście mnie usidlili cukrowanymi słowy, uprzejmościami i ciągłym staraniem się o moje względy, że chcę złamać słowo, które sobie dałam, i należeć do was w nagrodę za tak wytrwałą miłość.

Proboszcz na te słowa w najwyższym uniesieniu zawołał:

– O pani, jakież *dank*⁴² mam ci złożyć? Jeśli mam prawdę powiedzieć, dziwiło mnie to *niepomału*⁴³, żeś się tak długo opierała, nigdy mi się to bowiem w stosunku do innych białogłów nie zdarzyło. Dotychczas twierdziłem zawsze, że gdyby kobiety ze srebra były, nie zdałyby się na monetę, bowiem żadna z nich młota by nie wytrzymała. Aliści dajmy temu pokój; a natomiast zechciej mi powiedzieć, kiedy, gdzie i jak zejść byśmy się z sobą mogli?

– Mój miły ojciec – odrzekła na to dama – mogę wam odpowiedzieć, że wtedy, gdy się wam to podobać będzie, nie mam bowiem męża, któremu bym z nocy moich rachunek zdawać musiała. Ale gdzie, tego wymyślić nie potrafię.

– Jak to? – zawołał proboszcz – a w twoim domu?

– Wiecie wszak, ojciec – odparła dama – że mam dwóch młodych braci, którzy często w dzień i w nocy z towarzyszami swymi w domu moim przesiadują. Ponieważ miejsca w nim niewiele, łatwo by więc nas przydybać mogli, chyba żebyśmy się jak niemi bezgłośnie zachowywali i zgodzili się przez cały czas w ciemnościach, niczym ślepy, pozostawać. W tym tylko razie komnata moja mogłaby istotnie za schron nam posłużyć; bracia moi nigdy do niej nie zachodzą; jednakże ich komnata jest tak blisko mojej, że najcichszy szept słychać by u nich było.

– Ha! – odrzekł proboszcz – nie chcę chwili mego szczęścia odkładać, zachowamy się tedy, jak potrzeba, i zjedziemy się tymczasem u was. W przyszłości pomyślę o wynalezieniu stosowniejszego miejsca.

– Zgoda – rzekła dama – ale jeszcze jedno słówko. Błagam was, aby to wszystko w najgłębszej tajemności pozostało.

– Nie obawiajcie się niczego, pani – odparł proboszcz. – Postarajcie się tylko, abyśmy już dziś wieczór spotkać się mogli.

– Chętnie – rzekła dama, po czym wskazała mu, jak ma się do jej komnaty przedostać, i pożegnawszy go do domu powróciła.

Wdowa trzymała u siebie służkę, dziewczynę, nie tylko już leciwą, ale i najszeptniejszą pod słońcem. Twarz jej, *wierę*⁴⁴, wielce szpetna była, nos szeroko rozpląszczony, gęba krzywa, wargi grube, zęby wielkie i nierówne. Oczy miała zawsze kaprawe, a cerę tak zieloną i żółtą, jak gdyby lato nie w Fiesole, ale w Sinigalii spędziła. *Krom*⁴⁵ tego dziewczeczka ta chromała⁴⁶ i prawą nogę miała krótszą od lewej. Na imię jej było Ciuta, aliści dla jej szpetności nazywano ją grubo Ciutazza. Przy całej brzydocie na sprycie jej jednak nie zbywało.

Dama nasza przywołała służkę i tak rzekła do niej:

– Jeśli mi uczynisz, Ciutazzo, tej nocy pewną przysługę, podaruję ci za to nową, piękną koszulę. Na wzmiankę o koszuli Ciutazza zawołała:

– Pani, dla koszuli rzucić się za ciebie w ogień jestem gotowa, nie mówiąc już o mniejszej rzeczy.

⁴² *dank* (daw., z niem.) – podziękowanie, wyrazy wdzięczności. [przypis edytorski]

⁴³ *niepomału* (daw.) – niemało. [przypis edytorski]

⁴⁴ *wierę* (daw.) – doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

⁴⁵ *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

⁴⁶ *chromać* – kuleć. [przypis edytorski]

– Dobrze tedy⁴⁷ – odparła dama. – Otóż chcę, abyś tej nocy położyła się do mego łóża z pewnym mężem i abyś pieszczoty jego odwzajemniała. Strzeż się jednak choćby słówko szepnąć do niego, bowiem bracia moi, śpiący opodal, mogliby cię posłyszeć. Jeśli prośbę moją spełnisz, koszula do ciebie należeć będzie.

– Co? – zawołała Ciutazza – z sześciu położę się spać, nie tylko z jednym, jeśli o to chodzi!

Tymczasem wieczór zapadł; o zmroku pojawił się przed domem ksiądz proboszcz. Dwaj młodzieńcy, zgodnie z udzieloną im wskazówką damy, znajdowali się w pokoju swoim i głośno rozmawiali. Nasz miłośnik ostrożnie, wstrzymując oddech, udał się wskazaną mu drogą do sypialni damy i po ciemku, na palcach zbliżył się do łóża. Wówczas Ciutazza, dobrze roli swojej wyuczona, przystąpiła ku niemu. Proboszcz, przekonany, że znajduje się obok ukochanej, nie mówiąc ni słowa całować ją począł. Ciutazza hojnie się odwzajemniała. Za chwilę spoczywali już jedno w objęciach drugiego. Proboszcz mógł się wreszcie cieszyć do woli rozkoszą, na którą tak długo czekać musiał.

Tymczasem dama, widząc księdza wkraczającego do swej sypialnej komnaty, dała znak braciom, aby wiedzieli, że ich rola teraz się zaczyna. Bracia wyszli po cichu z zamiarem udania się na plac katedralny, ale szczęście sprzyjało im nadspodziewanie, biskup bowiem z powodu wielkiego skwaru wybrał się na przechadzkę i do nich chciał się kierować, by wytchnąć nieco i orzeźwić się napojem. Spotkawszy ich w drodze, wyjawiał im swój zamiar. Ruszyli razem. Przybywszy do swego domu, bracia wprowadzili biskupa do rzeźbiście oświetlonej altany i poczęstowali wyborym winem.

Po czym, upatrzawszy stosowną chwilę, jeden z nich rzekł w te słowa:

– Panie, ponieważ byłeś tak dobry i zaszczyciłeś nasz skromny domek swoimi odwiedzinami, uprzedzając zaproszenie nasze, to mamy nadzieję, że zechcesz teraz spojrzeć na pewne widowisko, które ci pokazać pragniemy.

Biskup przystał na to z chęcią. Wówczas jeden z młodzieńców, wzięwszy w rękę płonącą pochodnię, poszedł przodem, brat jego zaś⁴⁸ z innymi w ślad za nim biskupa poprowadził. Po chwili weszli do pokoju, w którym proboszcz z Ciutazzą się znajdował. Ponieważ zacny ten mąż, jako dzielny jeździec, ostróg koniowi swemu nie żałował i przebył już dotychczas więcej niż trzy mile, zmęczył się tedy nieco i w tej chwili odpoczywał, mimo skwaru trzymając Ciutazzę w objęciach.

Przy świetle pochodni biskup i wszyscy przytomni⁴⁹ ujrzeni to piękne widowisko. Proboszcz, olśniony światłem i strwożony głosami ludzkimi, ocknął się i widząc, co się dzieje, zawstydzony i drżący, schował głowę pod kołdrę. Na nic mu się to jednak nie zdało. Biskup bowiem poznał go, przemówił doń srogimi słowami, kazał mu wyjąć głowę spod kołdry i zobaczyć, z kim łożę dzieli. Wówczas proboszcz pojąwszy jadowitość figla damy i wystawiwszy sobie, jaki mu z tego wstyd urósł musi, stracił całkiem głowę. Z rozpaczliwego położenia wywiódł go dopiero biskup rozkazując mu ubrać się. Gdy to uczynił, odesłano go pod strażą do domu, gdzie w zamknięciu nałożoną nań ciężką pokutę odbywać musiał.

Biskup zapragnął dowiedzieć się, jakim sposobem do tak zażyłych stosunków między proboszczem a Ciutazzą przyszło. Dwaj młodzieńcy uczynili zadość temu życzeniu i opowiedzieli mu szczegółowie⁵⁰ rzecz całą. Biskup pochwalił gorąco damę i jej braci za to, że wybrali jeno⁵¹ taki środek ukarania proboszcza i że nie splamili rąk krwią niegodziwego człeka, który jednak sukienkę duchowną nosi.

Przez czterdzieści dni z rozkazu biskupa proboszcz nasz grzech swój oplakiwał, aliści boleść, której doznał z powodu zawodu i urażonej miłości własnej, daleko dłużej lży mu z oczu wyciskała. W

⁴⁷ *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

⁴⁸ *zaś* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

⁴⁹ *przytomni* (daw.) – obecni, zebrani. [przypis edytorski]

⁵⁰ *szczególwie* – dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

⁵¹ *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

ciągu kilku miesięcy nigdzie pokazać się nie mógł, bowiem zaraz obstępowali go chłopcy, i pokazując go palcami, wołali:

– Patrzcie no, patrzcie, to ten, co z Ciutazą spał!

Proboszcza tak to drażniło, że o mało rozumu z tej przyczyny nie postradał.

Takim to sposobem pozbyła się roztropna dama natrętnego miłośnika, Ciutazza zaś pozyskała nową koszulę”.

Opowieść piąta. Sędzia bez spodni

Trzech florenckich figlarzy ściąga spodnie z sędziego, w czasie gdy ów w trybunale różne sprawy rozważa.

Gdy Emilia opowieść swoją skończyła, wszyscy należne pochwały wdowie oddali. Po czym królowa, spojrzawszy na Filostrata, wezwała go do opowiadania z kolei. Filostrato bez zwłoki zaczął w te słowa:

– Miłe damy! Imię młodzieńca, Maso del Saggio, o którym niedawno Eliza wspomniała, skłoniło mnie k'temu⁵², abym opowieść, jaką poprzednio miałem zamiar wam przytoczyć, inną nowelą zastąpił. Tenże Maso, wraz z kilku jego towarzyszami, gra w niej niepoślednią rolę. Powieść ta jest obyczajną, chociaż zawierają się w niej słowa, do używania których nie przywykłyście. Opowiem wam ją jednak ze względu na to, że jest wielce krotochwilną⁵³.

„Jak wam zapewne wiadomo, do naszego grodu przybywają często podestowie⁵⁴ z okolic Ankony. Są to przeważnie ludzie ubodzy duchem, nędzarze i brudni chciwcy. Przywodzą oni z sobą podobnych do siebie pomocników, sędziów i jurystów⁵⁵, wyglądających raczej na takich, którzy ze stajni lub szewskiego kramiku wyszli, niżli na wychowañców szkoły prawa. Otóż jeden z takich podestów, przybywszy do naszego miasta, przywiódł z sobą między wielu innymi prawnika, który kazał się nazywać panem Nicola da San Lepidio, mimo że wyglądał raczej na ślusarza niżli na sędziego. Powierzono mu, na równi z innymi sędziami, różne sprawy kryminalne do rozpatrzenia. Pewnego poranku Maso del Saggio, obyczajem wielu mieszczan, którzy często do sali sądowej zachodzą, chociaż sprawy żadnej nie mają, przybył tam w poszukiwaniu jednego z przyjaciół i ujrzał pana Nicola. Wygląd sędziego wydał mu się tak dziwny, że jął⁵⁶

⁵² *k'temu* (daw.) – do tego. [przypis edytorski]

⁵³ *krotochwilny* (daw.) – żartobliwy. [przypis edytorski]

⁵⁴ *podesta* – w średniowiecznych włoskich miastach najwyższy urzędnik o uprawnieniach sędziowskich i wojskowych. [przypis edytorski]

⁵⁵ *jurysta* (daw., z łac.) – prawnik. [przypis edytorski]

⁵⁶ *jął* (daw.) – zaczął. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.